ROK VI. Chicago, dnia 2-go Sierpnia, 1888. **No. 31**



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie $1.00. Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. Do Europy: z Gazetą $1.00, bez Gazety $1,50. Przedpłata musi być naprzód opłacana. — Pokwitowań nie ogłasza się.

Wszelkie listy i korespondencye adresować należy: / All comunications must be adressed: } W. Smulski, 635 Noble str. Chicago, Ill.

Entered at the post office of Chicago Ill., as second class matter.

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją pismu „Dzień Święty" i zalecam takowe jak najgoręce naszym Polakom-Katolikom.

Chicago, dn. 3. Stycznia R. P. 1883.

† P. A. FEEHAN,
Arcybiskup Chicagowski.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:	KATOLICKI:	SŁOWIANSKI:
Czwartek, 2 sierpnia	NMP. Anielskiej i Alfonsa	Swiętosław.
Piątek, 3 sierpnia	Znal. relikwi św. Szczep.	Letosław.
Sobota, 4 sierpnia	Dominika wyz.	Ostomir.
Niedziela, 5 sierpnia	11-ta po Św. NMP. Snieżnej	Stanisław św.
Poniedziałek, 6 sierpnia	Przemienienie P.	Chlebosław.
Wtorek, 7 sierpnia	Kajetana wyz.	Olech św.
Sroda, 8 sierpnia	Cyryla i Emiliana	Niezamyśl.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

NA NIEDZIELĘ XI-tą PO ŚWIĄTKACH.

Ewangielia S. Marka w rozdz. VII. od w. 31 do końca.

W owym czasie wyszedłszy Jezus z granic Tyru, przeszedł przez Sydon do morza Galilejskiego przez pośrodek granic Dekapolskich. I przywiedli mu głuchego i niemego, a prosili go, aby nań rękę włożył. A wziąwszy go na stronę od rzeszy, wpuścił palce swe w uszy jego, a splunąwszy dotknął jezyka jego. A wejrzawszy w niebo, westchnął i rzekł: Effeta! to jest, otwórz się! I wnet otworzyły się uszy jego i rozwiązała się związka języka jego, i mówił dobrze. I przykazał im, aby nikomu nie powiadali. Ale im wiącej on zakazywał, tem daleko więcej rozsławiali, i tem bardziej się dziwowali mówiąc: Dobrze wszystko uczynił, i głuche uczynił, że słyszą, i nieme, że mówią.

Leki na strachy smiertelne.

Kto ich zażyje, ten się już nigdy śmierci bać nie będzie.

(Ciąg dalszy.)

Mówiąc o dopuszczeniach Bożych, to jakbyśmy omackiem w ciemności szukali. Więc ja też tylko tak na chybił trafił popróbuję odgadnąć przyczynę tego, o co się mnie zapytałeś. Gdyby jaki doktór w lazarecie miał sto chorych, a każdy był chory na co innego, jak to zwyczajnie bywa tam gdzie wielu jest chorych, więcby też ten doktór każdemu osobne przepisał lekarstwo i osobne zachowanie się, jak tam właśnie jego choroba wymaga. Wystaw sobie, że tu naraz jeden z chorych, który uchodzi za najtęższego co do głowy i sam powiada, że szkoda tylko jego talentu, bo mógłby był zostać jakim sędzią albo doktorem, gdyby tylko był chciał, że tedy naraz taki zacznie na dobre szemrać, hałasić i rezonować: „co to tu za porządek? z tego naszego doktora to wielki osieł. Patrzcie, on mi daje tu bardzo gorzkie lekarstwo, które tak wygląda jak młode piwo, a ten stary tu gruchot, co leży koło mnie, dostaje dobrego wina i cielęcej pieczeni. Albo ja to gorszy od niego? Mnie się też to samo należy co i jemu. Doktór zwyczajnie na niczem się nie zna, a na mnie się uwziął; już ja to od paru dni uważam." Szpitalem, lazaretem jest ziemia; my ludzie jesteśmy wszyscy chorzy na duszy; Bóg jest lekarzem, te różne przygody i utrapienia są lekami, a tym dowcipnym i niby mądrym, a w rzeczy samej głupim chorym jesteś ty, co się skarżysz i szemrzesz na twoje cierpienia i nieszczęścia. Ale ty może teraz z innego zaczniesz rejestru odmawiać litanią samych skarg i zarzutów przeciw Bogu i Jego dopuszczeniom. Zwyczajne djablisko jak miechem kowalskim w kuźni, dmie ci z różnych stron a ty wypuszczając z ust te wiatry, warczysz i buczysz, nie wiedząc sam co pleciesz. I mówisz tak: „Co tam już P. Bóg na mnie zsyła i dopuszcza, toć jeszczebym i przyjął, ale co ci źli ludzie,....ci dogryzają mi najwięcej, i tego nie mogę połknąć i strawić. Oto mój kumotr Maciej przejeżdża mi przez łąkę i rozrzyna ją wozem, dzieciaki mego sąsiada

Tomka otrząsają mi gruszki w ogrodzie, niszczą zboże, a podatki, to już na mnie największe nałożyli, bo są wszyscy tam na mnie zawzięci, a mój własny szwagier, to mi.... ale stój, bracie, dosyć już bobyś inaczej nie skończył z temi skargami. Zacznijmy od czego innego.

Powiedz mi, widziałeś ty już pijawki? Może ci już je przystawiano, kiedyś miał zapalenie mózgu lub gardła. Nie prawda? Te robaki uszczypną trochę i wypijają zaraz krew i zgoła nic dobrego o tobie myślą, boć oczywiście wcale nic nie myślą, jeno sobie jak się należy krew piją i piją, zwyczajnie bo im smakuje, a czy tam tobie to jest miło, lub nie, to im wszystko jedno, i nic się o to ciebie nie pytają. Ale felczer lub doktór przystawił ci te pijawki do ciała w dobrym celu, to jest w tym, aby ci wypiły twoją zepsutą krew z szyi lub głowy. Kiedy felczer uważa, że już dosyć, wtedy odejmuje ci pijawkę, nie zważając na to, czy tam się twą krwią już napiła, lub jeszcze nie. Ale jeśli jeszcze wiele masz w sobie niezdrowej krwi, to ci znów na drugi dzień rano przystawia pijawki i trzyma je tak długo wedle tego, jak mu się zdaje być potrzebnem. Jeśli masz trochę oleju w głowie, to zgadnij teraz sam, kto jest tym felczerem, który ci przystawia pijawki i w swoim czasie je odejmuje, a zawsze dobrze myśli o tobie. Pijawkami, które cię szczypią i ssają a przytem nie dbają nic na twoje dobro, ale które jednak mimo wiedzy i woli ci pomagają do zdrowia, to są ludzie, którzy cię dręczą, zmartwienia ci gotują i krzywdę wyrządzają. Że zaś dusza twoja nie ma żadnej złej żyłki i zgoła nic popsutej krwi, tego mi też na pewnika nie udowodnisz. Ale być może, że cię wciąż te pijawki już za nadto gryzą i za wiele ci krwi wypuszczają. Na ten przypadek znam bardzo dobre i skuteczne lekarstwo, które ci też tu zapiszę. Jest to jakby plasterek, który przykładać będziesz na ranę. To lekarstwo czyli ten plasterek na dwie rzeczy bardzo za sobą mówiące: najpierw, że nie kosztuje 3 trojaczków jak u doktora, po drugie, że zawsze i każdemu pomoże, który go będzie używał. Otóż lekarstwo to stoi podane w ewangelii ś. Mateusza, w rozdziale 5, wierszu 44 i 45. Jeżeli nie masz Pisma ś., tobyś mógł iść

do księdza i poprosić go, aby ci to wypisał. Lecz zapewne lepiej będzie, że ja ci tu sam to podam. Słuchaj tedy, co tam P. Jezus mówi: „A ja wam powiadam, miłujcie nieprzyjacioły wasze; dobrze czyńcie tym, którzy was mają w nienawiści, a módlcie się za prześladujące i potwarzające was, abyście byli synami ojca waszego, który jest w niebiesiech. Który czyni, że słońce jego wschodzi na dobre i złe i spuszcza deszcz na sprawiedliwe i niesprawiedliwe." — Ile razy tedy te pijawki ci dogryzają, i zdaje ci się, że już nie możesz żadną miarą wytrzymać, to zajrzyj do tej książeczki, wyszukaj w niej tę receptę, odczytaj ją uważnie i użyj jej tak, jak tu jest podane. Kto się zawsze tego przepisu trzymać będzie, ten się przy śmierci będzie cieszył i z tych pijawek i z tego plasterka, i może by był markotny, że mu Pan Bóg pijawek za życia nie przystawiał. Zrób i ty raz próbę, ja ci ręczę, że ci to pomoże, boć tak jest, a nie inaczej. C. d. n.

Mniemany Skarbnik.

Opowiedział J. Gallus.

Pomiędzy górnikami istnieją rozmaite podania o skarbnikach czyli zaklętych duchach. „Skarbnik," jak górnicy zwykle ducha nazywają, według najstarszego podania zwykle się pokazuje, aby biednemu, słabemu lub zbłądzonemu, górnikowi być na pomocy, aby przed nadchodzącem nieszczęściem ostrzedz, albo, gdy w odległem miejscu zdarzy się nieszczęście, zawiadamiać; często zaś, aby zaszłą niesprawiedliwość ukarać. Skarbnik pomaga, jak starzy górnicy opowiadają, słabym lub chorowitym, którzy mają chęć do pracy, w ich zatrudnieniu, tak, że praca dziwnie prędko i korzystnie z miejsca uchodzi. Zbłądzonych wyprowadza na prawą drogę. Kiedy komu lampka zgaśnie, tak, że bez pomocy stać musi w strasznych podziemiach ciemnych, zjawia się skarbnik i zapala mu lampkę.

W wielu podaniach, zjawia się często nagle skarbnik w postaci pełniącego służbę sztygara na miejsce, gdzie górnicy

pracują i każe im w tej chwili takowe opuścić i na inne się udać. Skoro z niego wyszli, wtedy opuszczone miejsce się zawala, a górnicy uniknęli niechybnej śmierci. Skarbnik zaś tak prędko znika, jak się był zjawił. Zwykle wychodzić ma z otwierającego mu się kamienia, węgla lub kruszczu, a a potem napowrót wchodzić do takowego bez najmniejszego śladu.

Skarbnik miał być niegdyś posiedzicielem kopalni, który w górnictwie takie miał upodobanie, że na łożu śmiertelnem prosił Pana Boga, aby zamiast wiecznego przebywania w niebie, pozwolił mu do dnia sądnego po kopalniach i szybach chodzić i górnictwo oglądać. Prośba jego została spełnioną.

Że między górnikami jeszcze i teraz są tacy, co wierzą, że rzeczywiście skarbnik istnieje, nie można się wcale dziwić. Łatwo to sobie każdy wytłómaczy, kto już raz w większej, głębokiej kopalni sam na sam się znajdował, a wśród strasznej ciemności grobowej, którą szczupłe światełko lampki, niosącej w ręku na kilku zaledwie kroków ciemność oświetlało. W tej ciszy grobowej, przerywanej raz po raz cichym, niemiłym pluskiem wody, wytryskującej gdzie niegdzie z rozpadliny kamiennej i głuchego odgłosu swych kroków, przedstawiają się w ludzkiej wyobraźni rozmaite niemiłe obrazy, tak, że nawet w swym własnym cieniu widzi ducha. Z tego to powodu mogły powstać podania różne o skarbnikach pomiędzy prostymi górnikami.

Następujące prawdziwe zdarzenie, jaśniej to przedstawi.

W pobliżu miasta górniczego Tarnowic (w Prusach na Górnym Szlązku) znajduje się znaczna liczba kopalń rudy żelaznej. Ponieważ pokład tego kruszcu nie ciągnie się pod ziemią zbyt daleko, i po części tylko, jakby w gniaździe się znajduje, dla tego urządzenia do wydobywania kruszcu na powierzchnię są bardzo pojedyńcze. Wykopują się szyby nie głębokie, od których robią krótkie ganki, a osiągnięty ztąd materyał wyciągają za pomocą wału do góry. Skoro z gniazda kruszec wybrano, opuszczają szyb i w pobliżu tego robią znowu drugi, a tak idzie coraz to dalej. Ponieważ zaś

w Niedzielę nikt nie pracuje, dla tego w Sobotę wieczorem przykrywają deskami otwór szybu, dla ochrony robotników przed wiatrem i niepogodą, i ażeby obcy do niego nie wpadł.

Pewnego dnia rano o godzinie 5-tej zgromadzili się przed kilkunastu laty górnicy około takiego szybu, aby zejść do kopalni. Hajerzy*) położywszy się w trawie, opowiadali o spędzeniu Niedzieli, podczas gdy szleprzy**) cisnęli się ku drabinom. Był tam bowiem zwyczaj, że wpierw szleprzy, a potem dopiero hajerzy schodzili na dół. Tak więc jeden za drugim schodził po stromych drabinach do kopalni.

Skoro pierwszy już był na spodzie, zatrwożony nagle stanął, bo usłyszał szybkie kroki, zbliżające się coraz bardziej ku sobie: „klap, klap! klap, klap!“ prawie jak gdyby ktoś w drewnianych trepach leciał, a przytem szyderczy, głośny śmiech rozległ się po ganku.

— Skarbnik! skarbnik! — zakrzyknął szleper na samym dole stojący, i — skarbnik! — zakrzyczeli jego koledzy nad nim, i z takim pośpiechem pięli się napowrót po drabinach, iż dziwić się było można, że przytem nikt karku nie skręcił.

Bladzi i trzęsąc się z przestrachu opowiedzieli siedzącym na wierzchu hajerom, że skarbnik na dole swoje dziwy wyprawia, iż go wyraźnie śmiejącego się słyszeli zauważając, jak leciał ku szybowi.

Hajerzy, z początku uważając to wszystko za żart, wyzywali na szleprów i grozili im kijami, lecz gdy ujrzeli przestraszoną postać chłopaka który najpierw był na dole — wtedy jedni śmiali się z niego, że wierzy w zabobony, a drudzy drwinkując mówili: że nie ma wcale skarbnika; żeby szleprzy znowu zeszli do kopalni. Lecz ci wahali się sami iść i żądali, aby jeden z hajerów naprzód zeszedł.

Wszelkie wyzwiska i pogróżki hajerów nic nie pomogły, aż dopiero jeden z nich się na to zgodził, że się ze szleprami do kopalni spuści.

*) Hajerzy są to starsi górnicy zatrudnieni w kopalni strzelaniem i rozbijaniem skał.

**) Szleprzy są to zaś młodsi robotnicy, którzy naczynia do wyciągania kruszczu lub węgla ładują i odwożą ku szybu, albo ku tak zwanej „strece.“

Biedni szleprzy musieli niejedną obelgę znieść podczas schodzenia od hajerów, że się w tak głupie gusła bawią.

Niedługo hajer był na spodzie pod szybem, a za nim szli szleprzy jeden za drugim; lecz zaledwie kilka kroków od drabiny odszedł, usłyszał także owe „klap, klap! klap, klap!" i ochrypły śmiech szyderczy.

Struchlały hajer nie mógł ani słowa przemówić i przestraszony mechanicznie pospieszył za szleprami uciekającymi ku wychodowi.

— Skarbnik! skarbnik! - rozległ się głośny okrzyk przerażenia się ze szybu, który oczekujący na powierzchni dosłyszeli.

Teraz hajerzy się już nie śmiali z zabobonności szleprów, skoro opowiadania swego kolegi wysłuchali. Żaden z nich nie chciał już na dół schodzić.

Poszli więc do sztygara, aby mu o tem donieść i poprosić go, żeby ich na inny szyb posłał.

Atoli sztygar, będąc młodym, porywczym człowiekiem, przyjął ich ostremi słowy, grożąc każdemu natychmiastowem wydaleniem, ktoby nie chciał pod tym szybem pracować. Sam zaś chciał im pokazać, że wszystko głupstwo i urojenia, wystawiające ich na pośmiewisko.

— Cóż się od młodych szleprów spodziewać, jeżeli wy, starzy górnicy nie będziecie rozsądniejszymi?

Chociaż słowy temi czuli się górnicy zawstydzeni i obrażeni, jednak nabyli odwagi. A gdy sztygar wziął do ręki swą lampkę, podążyli wszyscy za nim ku szybowi.

Milcząc schodzili hajerzy do ciemnej głębi, tylko sztygar, schodzący naprzód, piorunował jeszcze raz po raz w swej złości na biednych robotników.

Gdy już był na spodzie, podniósł światło w górę i spuścił na dół, aby wszystko doskonale zbadać.... ale nic nie widział.

Lecz cóż to było? -- Nie zaśmiał się to ktoś szyderczo na cały głos w ciemnym ganku? — Albo nie był to może jeden z robotników?

Sztygar, któremu jakoś dziwnie na sercu się zrobiło,

ozkazał górnikom cofającym się ze strachem ku drabinom zachować się spokojnie i nie ruszać się z miejsca.

Smiech szyderczy się znowu powtórzył, i wyraźnie słyszeć było, jak ktoś ze starego ganku (streki) spieszył ku szybowi, — a odgłos szybkich kroków ,,klap, klap! klap, klap!" dochodził ich uszu.

Sztygar zebrał całą swę odwagę, w mniemaniu, że to tylko złudzenie.

Górnicy drżąc ze strachu, zmierzali do ucieczki, lecz sztygar zabronił im tego pod karą.

— Niechaj się nikt z miejsca nie ruszy! — zawołał na nich.

Poszedł tedy sam do ganku, z którego pochodził śmiech odgłos kroków. Słychać je było coraz bliżej; czasem zdawało się, jakby zwolniały, lub też, jakoby spieszący się o coś potknął, lecz wtedy śmiech szyderczy jeszcze głośniej słychać było.

Sztygarowi z rozdraźnienia biło serce jakby młotem kowalskim. Wtem ujrzał zarys jakiejś postaci, która stawała się coraz wyraźniejszą — mógł już rozróżnić głowę i dwoje wielkich oczy, długą brodę i dwa rogi! — Było już po jego odwadze, i z okropnym okrzykiem: ,,Skarbnik! skarbnik!" obrócił się i leciał co tchu napowrót ku drabinom.

Pod szybem powstało straszne zamięszanie, każdy z górników chciał się pierwszy na wierzch dostać, a biedny sztygar, trzęsąc się jak liść osiny, stał ostatni w tyle. A kiedy górnik przed nim stojący wlazł na drabinę, słyszy już skarbnika za sobą, zdawało mu się, że już czuje jego gorący, jadowity oddech, a obrócić się nie ważył. W oczach mu się zaćmiło, i gdy nogę na pierwszy szczebel drabiny podniósł, uderzył go skarbnik rogami tak silnie pod kolana, że upadł i bez zmysłów został leżeć pod szybem.

Ochrypły, szyderczy śmiech odbił się tysiącznem echem w szybie.

Bladzi jak trupy, z włosami najeżonemi od strachu powychodzili górnicy na powierzchnię, i nikt nie chciał się już nad szybem zatrzymać, wszyscy pobiegli ku cechowni do nadsztygara.

Opowiedzieli mu wszystko co widzieli, jak skarbnik sztygara porwał i Bóg wie, co z nim zrobił. Z pewnością mu kark skręcił za jego wyśmiewiska. Co zaś do nich, to wolą być z roboty wypędzeni, jak jeszcze raz do tego przeklętego szybu zejść.

Nadsztygar, stary, poważny mąż z białą jak gołąbek głową i takąż brodą, uśmiechnął się wysłuchawszy opowiadania górników.

— Zaczekajcie tu jeszcze kwadransik, a potem dam wam odpowiedź, która was z pewnością zadowolni.

To mówiąc, wziąwszy swoją lampkę do ręki, spuścił się sam do kopalni. Nikt z górników nie ważył się iść za nim. Gdy już był na dole, dziwny się oczom jego przedstawił widok. Oto pod ostatnią drabiną ujrzał bez zmysłów leżącego sztygara, a obok niego, zamiast skarbnika.... kozła, który ujrzawszy światło, wesoło zabeczał.

Szyb, jak już powiedziano, nie był głęboki. W Sobotę zaś robotnicy zapomnieli go deskami nakryć, i tak wpadł weń w pobliżu się pasący kozieł. Pod szybem było dość dużo wody, i kozieł spadł tak szczęśliwie, że oprócz lekkiego wstrząśnienia, nie odniósł żadnej szkody. Zwierzę więc szukając wyjścia, biegało w ciemnych gankach kopalni po deskach pokładzionych na ziemi dla łatwiejszego wywożenia taczek, sprawiając przez to dziwny łoskot, a ludzka wyobraźnia łatwo z beczenia zrobić mogła „szyderczy śmiech."

Nadsztygar włożył kozła w kibel*), związawszy go dobrze, aby nie wypadł, a ocuciwszy sztygara z odurzenia (który w pierwszej chwili brodatego nadsztygara uważał znowu za skarbnika), wylazł z nim na wierzch. Potem rozkazał kibel wałem wyciągnąć, i pokazał górnikom mniemanego „skarbnika."

Zawstydzeni zeszli wszyscy na dół, idąc każdy do swej pracy; bardziej jednak zawstydzony był ów sztygar, który przedtem udając zucha naśmiewał się z zabobonu górników.

---

*) Kibel jest to rodzaj wielkiego wiadra, służącego do wyciągania z kopalni kruszców.

CO SIĘ STAŁO W POLSCE.

OD PIERWSZEGO JEJ ROZBIORU, AŻ DO KOŃCA WOJEN ZA CESARZA NAPOLEONA.

Ciąg dalszy.

Spalenie Moskwy.

Po tej wielkiej wygranej pod Mazajskiem uradowane napoleońskie wojsko spieszyło się do Moskwy, a tymczasem w tem mieście straszne się rzeczy działy. Po bitwie pod Mozajskiem przełożony jenerał nad miastem Moskwą, nazwiskiem Roztopczyn kazał popsuć wszystkie sikawki i co jeno potrzebne do gaszenia ognia, przytem kazał wywozić wszystkie carskie kosztowności, poszeptał z bogaczami miasta, ci także, co najspieszniej swoje bogactwa wynosili, a potem kazał sprowadzić na jeden wielki dziedziniec wszystkich rabusiów, złodziejów i rozbójników, jacy jeno po więzieniach siedzieli i powiada im: iż ich wypuszcza na wolność na to, ażeby zapalali miasto po wszystkich stronach. Złodzieje ochotnie na to przystali, boć sobie zaraz myśleli o rabunku. Nie długo też cała Moskwa stanęła w płomieniach. Lud z krzykiem i wielką żałością uciekał z miasta patrząc, jak się marnują jego dostatki, tułając się bez dachu po drogach i lasach. Przytem rozlegał się w powietrzu jęk 20 tysięcy rannych Moskiewskich żołnierzy, którzy żywcem w płomieniach ginęli— Moskwa cierpiała męczarnie naszej Pragi.

Z drugiej strony wojsko napoleońskie, jak by piorunem rażone wchodziło do Moskwy. Rzuciło się do gaszenia, ale zaledwie w jednem miejscu ogień przydusili, już w drugiem wybuchnął. Nadeszła noc, a nowych tysiące ogni powstawało. Widziało wojsko, jak podpalacze rzucali z wież ogniste wieńce pod drzwi i schody kamienic zapalone drzazgami, a najwięcej domów ledwie węglem dotknęli, już się paliły, bo były drewniane. Był tam płomień, dym, gorąco istnie jak w piekle; łapali Francuzi podpalaczy i karali śmiercią, ale niepodobieństwo było ognia ugasić, tak się rozszerzył. Po czterech dniach z tego pięknego i bogatego miasta, zostały tylko pustki i resztki niedopalonej żywności między gruzami domów.

O mrozach i głodzie, które przecierpiały Napoleońskie wojska w moskiewskim kraju.

Żywność, którą Francuzi w Moskwie znaleźli, wystarczyła na pożywienie wojska, było jeszcze i dosyć wygodnego miejsca na wypoczynek, ale jakże myśleć o zimowaniu w spustoszałem mieście, kiedy nikt nie dowoził żywności, kiedy nie było ni ubrania, ni obuwia, ni żadnej potrzeby dla wojska. Tak przesiedzieli przeszło miesiąc, a Moskale wojska sprowadzają i rozkładają w około, nie było więc już co czekać, jeno wyruszyć, bo żołnierz napoleoński najwięcej z ciepłych krajów, więc niewytrwały na zimno. Umyślił Napoleon cofnąć się do Litwy, tam się wzmocnić, wojsku wypocząć, i na spozimek rozpocząć z Moskalami. Zaszli Napoleonowi drogę Moskale pod Małym Jarosławiem, zbił ich porządnie, ale cóż kiedy droga, którą wracał była ta sama, co szedł do Moskwy, więc wszędzie pustki, nigdzie żywności. Widząc też Moskale, że mu w bitwach nie podołają, wzięli się na sposób, żeby go męczyć dzień i noc. Ledwie Napoleona wojsko stanęło, już strzały, już się nieprzyjaciel ukazuje; ledwie jeść zaczęli gotować, stawaj do broni; skoro wyjechali po żywność na okolice, już im Kozacy drogę zachodzą i staczaj boje o każdą odrobinę żywności, a do tego wszystkiego, co dzień mrozu przybywa, i to tak nagle, że tydzień po Wszystkich Św. 8. Listopada już 18 stopni było. Mróz taki, że ludzie nie wyspani, głodni i odarci zaczęli marznąć po drodze. Przytem powstały i mroźne zawieruchy, wiatr spędzał śnieg na kupy w opłotkach i po drogach, czego na życie żołnierze z ciepłych krajów nie wiedzieli i nieumieli sobie w tej biedzie poradzić, bo tu nie znać ani drogi, ani rowu: wszystko zawiane i zrównane. Ponuro szło wojsko skostniałe i zdrętwiałe od zimna, kierując się tylko za armatą utknioną pod śniegiem, za resztkami wozów i zdechłych koni, co się czerniały na białym śniegu, jakby ślady stóp śmierci.

Okropny to był widok, jak ten piękny i rzeski niedawno żołnierz, teraz odarty i zmizerniały, tu bił się przy lichem ognisku i zjadał na pół upieczonego kawał końskiego mięsa.

Tak się wlekli aż do rzeki, co się zwie Berezyną. Było to krótko przed Adwentem, bo 26. Listopada. Nie szeroka ta rzeka Berezyna, ale bardzo bystra, bo choć był taki wielki mróz, to na środku nie zamarzła, jeno brzegami. Nie było więc innego sposobu, tylko mosty stawiać. Wpośród ognia armatniego wystawili Francuzi dwa mosty i poczęli przechodzić. Moskale rozpoczynają bitwę, a wojska napoleońskie jedne się przeprawiają, a drugie odpierają nieprzyjaciół. Wszystko szło jak najlepiej póki był dzień, ale z najdejściem nocy łamie się jeden most, a wtedy wszystko ciśnie się na drugi, a każdy chce przechodzić jak najprędzej, każdy chce być pierwszym. Poczynają się więc kłótnie, a nakoniec najstraszniejsze bijatyki. Spychają jedni drugich w zlodowaciałą rzekę, konnica walczy z piechotą, większe armaty i wozy gniotą mniejsze, mocniejszy depcząc słabszego idzie po jego ciele; most się pod ciężarem ugina, krzyki i jęki spadających i rozgniatywanych, rozlegają się w powietrzu. O był to istny dzień sądny, kiedy jeszcze ze wschodem słońca Moskale na pozostałych poczęli sypać gęsto armatnim ogniem. Puszcza się więc pozostałe wojsko przez rzekę, wielu ginie pod lodami a reszta po stósach ciał ludzkich i końskich przeprawia się na drugą stronę, paląc most za sobą. Było to wojsko polskie, co przechodziło po trupach rzekę, i zasłaniało do samego końca żołnierzy przez most przechodzących. Książe Józef Poniatowski ciężko tu był ranny, a snadnie się dorozumiecie, co tu zginąć musiało najodważniejszych i najbitniejszych Polaków.

Prusak i Austryak zdradzają Napoleona.

Tymczasem kiedy Napoleon tak nieszczęśliwie zaszedł do Moskwy i wrócił, Austryackie i Pruskie wojska, co miały wojować Moskali po skrzydłach Napoleońskiego wojska, dla tego same sobie były zostawione, zdradzały po staremu, i włóczyły się tylko nie zaczepiając Moskali,ani Moskale ich. Teraz po przejściu Berezyny, Austryacy cofali się spiesznie do księstwa Warszawskiego, i umyślnie zostawili Moskalom magazyny w miejście Mińsku, a było w tych magazynach żywności przynajmniej na pół roku dla 100 tysięcy

żołnierza. Prusacy zaś wypowiedzieli Napoleonowi przyjaźń spisawszy zgodę z Moskalami; król pruski niby się to o zdradę na swoich Jenerałów gniewał, wziął jednak 60 tysięcy karabinów, co mu Moskale po Francuzach podarowali, i niedługo zawarł z Moskwą na dobre przyjaźń i dał im swoje wojska na pomoc. I cesarz Austryacki poszedł też niedługo w ślady króla pruskiego i połączył się z Carem moskiewskim, choć był i ojcem żony Napoleona. Aleć to już taka natura niemiecka; nigdy nie dotrzymać przyrzeczenia. C.d.n.

Historya o Rzymskich Papieżach.

Ciąg dalszy.

Sty Marcellus Rzymianin.

Okrutne prześladowanie, które Dyoklecyan rozpoczął, trwało ciągle jeszcze, lecz mimo tak wielkiej liczby zabitych biskupów, kapłanów i katolików wszystkich stanów kościół Chrystusowy stał silnie z całą swoją organizacyą. Zwłóczono wprawdzie z obórem nowego papieża po śmierci św. Marcelliusza, który na wiosnę był umarł, aż do jesieni, ale 21 Listopada 304 r. pozostali rzymscy kapłani wybrali z pomiędzy siebie św. Marcellego głową Kościoła. Ten był synem Benedykta i urodził się w Rzymie. Łatwo pojąć, że w tem wielkiem zamięszaniu, które przez to okrutne prześladowanie chrześcian w rzymskiem państwie powstało, Papież ten z początku swego panowania nie mógł wszystkich swoich obowiązków wypełnić. Euzebiusz w następujący sposób opisuje nam ten okropny czas: Podczas całego dziesięcioletniego prześladowania nie ustawały zasadzki i wojna między poganami. Na morzu nie można było jechać. Jeżeli kto okrętem z jakiej miejscowości przyjechał, musiał się obawiać, iż go zabiją lub wśród tortur i mąk pytać się go będą, czy czasem z obozu nieprzyjacielskiego nieprzyjeżdża. Do tego panował głód i morowe powietrze. Zwykłe deszcze w czasie zimowym przestały padać, wskutek czego właśnie powstał okropny głód, morowe powietrze i inna

choroba zaraźliwa, która w tem leżała, że powstał na ciele wrzód, na któren trzeba było umierać.

W Listopadzie r. 303 Dyoklecyan w tryumfie wjechał do Rzymu, ale lud nim pogardzał i źle go przyjmował. Niezadowolniony z takiego przyjęcia myślał o tem, aby zrzec się tronu. Pojechał do Rawenny a ztamtąd do Nikomedyi, gdzie się zamknął w swoim pałacu, aby swoje zdrowie pielęgnować. Dopiero w marcu roku 304 zaczął się publicznie pokazywać i tak wypatrywał blado i tak był chorobą zeszpecony, iż lud go nie mógł poznać. Jak powiada Laklancyusz zmusił Galienus Dyoklécyana do złożenia korony i do pozostawienia mu samoistnego panowania na wschodzie. Także chciwy panowania Maximinian Herkules musiał na żądanie Dyoklecyana złożyć panowanie. Pierwszy Maj r. 305 był wyznaczony, w którym w Nikomedyi i Medyolanie uroczyście miała być ogłoszoną zmiana rządu. Na wielkiej płaszczyznie koło Nikomedyi nastąpiło złożenie korony przez Dyoklecyana. Przed żołnierzami mówił o swojej chorobie, potem Maximin Daca został zawezwanym, aby dopomagał w panowaniu na wschodzie a Sewerus na zachodzie. Żołnierze byli zadziwieni i nie mogli się z tą wiadomością oswoić, bo spodziewali się, że inni będą do tych urzędów wyznaczeni t. j. Konstantyn, syn Konstancyusza i Maxencyusz, syn Maximiana. Gdy uroczystość się skończyła, wojsko udało się do Nikomedyi a Dyoklecyan pojechał do Dalmacyi, gdzie resztę swego życia przepędził. Jak ten prześladowca katolickiego Kościoła życie zakończył, opowiada nam Lanklancyusz następującemi słowy: „Musiał doczekać się tego, iż jego żona Priska i jego córka Walerya pozbawione zostały swych dóbr i swojej służby, jak ich wypędzano z jednego miejsca do drugiego i jak w końcu je wygnano na pustynie w Syryi. A później obydwie w Tessalonice przez Liciniusza schwytane i w obecności mnóstwa ludzi zaprowadzone na miejsce stracenia i tam zostały ścięte a ich ciała wrzucono do morza. W tym samym czasie pozrywano obrazy Dyoklecyana i tak musiał on patrzeć na to za życia, czego żaden z jego poprzedników się nie do-

czekał. To podwójne zmartwienie tak na niego wpłynęło, iż postanowił umrzeć. Rzucał się na swojem łożu, dusza jego z boleści się srożyła, a nie mógł przytem jeść ani spać. Bezustannie wzdychał, płakał rzucając się to na łożku, to na ziemi. Tak po panowaniu dwudziestoletniem, po używaniu szczęścia z najwyższej godności strąconym został w największą biedę i wśród głodu i udręczeń serca życie swoje zakończył w r. 312".

Po tej zmianie rządowej Maximin Daca panował nad Syryą i Egiptem, Sewerus zaś nad Włochami i prokonsularną Afryką. Na wschodzie państwa Rzymskiego prześladowanie chrześcian nie tylko ciągle trwało, ale się powiększało. Maximin Daca ogłosił jak najokrutniejsze rozkazy do prześladowania chrześcian a Galerius, powiada Laklancyusz, napełnił całą ziemię udręczeniami. Okropne są opowiadania mąk, które chrześcianie musieli ponosić a Euzebiusz, który wtenczas żył, napisał osobną książkę o męczennikach Palestyny. Za daleko by zaprowadziło, gdybyśmy więcej o tem pisać chcieli, ale jeden wśród tysięcy przykładów pokaże, jaki charakter to prześladowanie miało i męstwo prawdziwych katolickich chrześcian uwydatni. Euzebiusz tak mówi: Na rozkaz Maximina ogłosiciele w mieście Cezarei zwołali mężów, niewiasty i dzieci do świątyń bożków a oprócz tego przełożeni wojskowi wzywali po imieniu każdego żołnierza, aby ofiarował bożkom. Wtem młodzieniec Afianus bez bojaźni przybliża się do Urbanusa, właśnie gdy ten wino na ofiarę chciał wylać, uchwycił jego prawą rękę, aby nie ofiarował. Potem napominał go, aby od błędu odstąpił, albowiem głupstwem jest zamiast jedynemu prawdziwemu Bogu ofiarować fałszywym bożkom i djabłom. Młodzieniec ten tak sobie postąpił z natchnienia Bożego, ale za to odważny młodzieniec był bitym jak zwierz i znosił wszystkie razy ochotnie i tymczasem został do więzienia wtrącony, nazajutrz przyprowadzono go przed sędziego, który go chciał zmusić do ofiarowania, ale daremnie! wszystkie możliwe męki wycierpiał odważnie. Poprowadzono go napowrót do więzienia. Trzeciego dnia Urbanus kazał go przyprowadzić

znów przed sędziego a ponieważ i tą razą nie chciał ofiarować, został na wpół żywy do morza wrzuconym. Ale co potem się stało, zdaje się być nie do uwierzenia dla tych, którzy tego własnemi oczami nie widzieli. Świadkami tego wydarzenia byli prawie wszyscy mieszkańcy Cezarei. Gdy albowiem owego prawdziwie świętego młodzieńca do morza wrzucono, takie powstało poruszenie w morzu i w całem powietrzu, iż cała ziemia i całe miasto zadrżało i zaraz potem morze ciało jego wyrzuciło przed wrota miasta."

W zachodniej części rzymskiego państwa Konstancyusz Chlorus przywrócił spokój kościołowi. Ale już 25 lipca 306 r. umarł w Yorku w Anglii. Ponieważ Sewerus szedł za przykładem Konstancyusza, w całym zachodzie rzymskiego państwa powstał pokój dla kościoła, gdyż religię katolicką zaczęto tolerować. C. d. n.

Dziatki. Nie znam nic piękniejszego, czyściejszego pełniejszego pociechy, jak widok grzecznego dziecka i obyczajnego młodzieńca lub dziewicy. Przypatrzmy się tylko takim dziatkom, niby kwiatkom lub ptaszkom rajskim,na skroni ich nie dostrzegamy najmniejszej chmurki posępności, tylko odblask boskiego podobieństwa niby zorza wieczorna w raju. Jakie w nich ciepło, jak żywe ich uczucie, w obec sprawiedliwości lub niesprawiedliwości, jak odważnie sprzeciwia się młode usposobienie wszelkiemu gwałtowi, przemocy. „Chcesz mieć jaki wyrok", mawiali nasi przodkowie, „daj dziecku osądzić!" O święta niewinności, o wieleż jesteś ty lepszą, bogatszą, przedniejszą od nas!? — Dla czegóż niemamy dziatek kochać? Czyliż nie zbliżają się do każdego z zaufaniem i przyjaźnią? Czyliż więcej wymagają, jak tylko tego, żeby ich nie odstręczać od siebie? Bojaźń i nienawiść bywa zwykle w ich serca przez nas samych wszczepianą, miłość atoli z góry spływa w ich serduszka.

Wzór pokory. Pewien pustelnik przybywszy do opata św. Makarego, zapytał, coby miał czynić, aby zostać Świętym. Opat posłał go na cmentarz i kazał mu do stojące tam nagrobki wyzywać, bluźnić i złorzeczyć im, obelgi i zelżywości na nie rzucać, a następnie zmarłych z czcią i szacunkiem pozdrowić. Gdy po spełnieniu tego pustelnik do świętego starca powrócił, zapytał go tenże; „Cóż ci umarli odpowiedzieli?" — „Nic!" — „A więc idź i bądź podobien umarłym, nieczułym na ludzkie pochwały i obelgi, a staniesz się wielkim Świętym."

Pilnuj tego, aby się dzieci twe wiele nauczyły, to będzie dla nich lepszą spuścizną po twej śmierci, aniżelibyś im zostawił pieniądz, role, domy. Kto nic nie umie i nic nie wie, ten zawsze u innych rady i pomocy szukać musi, i na tem wiele traci, ten dobrego nie wynajdzie, od złego się nie ustrzeże.